

## MARIAN ZIĘBA

ur. 1936; Lublin



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	Lublin ; PRL ; codzienność PRL ; refleksje o życiu ; kawiarnia pana Widelskiego ; pasja do książek ; relacje w pracy w okresie PRL ; koniki ; wyjazdy zagraniczne ; obchody milenijne w 1966 roku ; ruch "Światło-Życie" ; przewóz książek ; drugi obieg ; wybór papieża Polaka ; Błachnicki, Franciszek ; stan wojenny ; kolejki w sklepach ; listy kolejkowe ; Boże Ciało w stanie wojennym ; rok 1989 ; własny interes ; nauczyciele z technikum

### Marian Zięba - całość relacji świadka historii

#### 1. „I nagle okazało się, że to się rozsypało, że pękł mur”

Ja jestem jednym z nie tak bardzo licznych osób, które gdyby mogły przeżyć swoje życie jeszcze raz, to ja chciałbym tak samo. Mimo, że mój okres życia przebiegał w czasach bardzo ciekawych, no bo tak jak w poprzednich nagraniach mówiliśmy o wojnie oczami dziecka, o wychowaniu na ulicy, o starym Lublinie z tamtych czasów, o szkole, o moim życiu zawodowym. Wydarzyło się dużo i bardzo dużo było wydarzeń społeczno-politycznych. Był czas zaraz po wojnie, kiedy wszyscy myśleli, że będzie tak, jak było. No nie było tak, jak było, zaczęła się inna cywilizacja. Przeżyliśmy sporo lat nie zawsze mogąc się tak rządzić, jak byśmy chcieli. I był czas, kiedy wydawało się, że ta gigantyczna potęga, mówię o Związku Radzieckim, będzie trwała wiecznie. Ile osób w to uwierzyło i przyłączyli się nawet do tej – ja to nazywam cywilizacji, ale okazało się, że były wydarzenia, które wstrząsnęły Polską, które wstrząsnęły Europą, które wstrząsnęły poprzez Europę i światem. Mam na myśli wybór papieża Polaka, jego pierwszą wizytę w Warszawie: „Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi, tej ziemi”. I tam policzyliśmy się. Nieważne, czy to było milion, czy milion dwieście, czy może osiemset tysięcy – było nas dużo. Jak okiem sięgnąć widać było głowy. No i cóż, nagle okazało się, że ten Związek Radziecki, który był przedstawiany jako taka gigantyczna siła, wcale taką wielką siłą nie jest, a szczególnie gospodarczo. I nagle okazało się, że to się rozsypało, że pękł mur. Żelazna kurtyna została usunięta. A później wejście Polski do wspólnoty europejskiej, a później układ, który pozwala jeździć praktycznie po całej Europie, gdzie kto sobie zamarzy, jeżeli tylko ma na to

środku. A tak nie było. Ja miałem rodzinę we Francji, no i wiadomo, że okres wojny – to była siostra mojej mamy – nie mogliśmy się zobaczyć, a więc przez wiele lat siostry nie miały żadnego kontaktu nawet listowego, bo listy były cenzurowane albo niszczone. A w ogóle to nie można było pisać do Francji, można było usłyszeć zarzut, że jest się szpiegiem. Jak już zaczął się ten okres powojenny, ciocia Marysia z Francji przyjechała do Lublina spotkać się z rodziną. Były łzy, były wspomnienia, a czas był bardzo trudny. Przyjechała z Francji, a chodziła z moją mamą w kolejkę do sklepu mięsnego, żeby kupić coś i ugotować na obiad. I pewnego razu w tym sklepie mięsnym było takie zdarzenie, że gdzieś przed moją mamą, której towarzyszyła ciocia Marysia, była staruszka. Staruszka kupowała kości na zupę. No i pani sklepową zaczęła ważyć wielką kość. Babcia poprosiła, żeby kość przetrąbać na połowę, bo ona sobie z tym nie da rady. „Babciu, a co będzie dziadzio w domu robił?”. Ta kość nie została przetrąbana, a ciocia Marysia zaczęła bardzo płakać. Nie rozumieliśmy dlaczego, bo to dla nas było takie w miarę normalne. [Sklepową] za ladą to była pani. Mogła na przykład powiedzieć, że dzisiaj rzuca pomarańcze, albo dzisiaj rzuca mieszankę wedlowską. I dopiero, jak pojechaliśmy do Francji już później i weszliśmy do Leclerc’a, wtedy śmy skojarzyli, dlaczego ciocia Marysia wtedy zapłakała. Ona zobaczyła naszą biedną, siermiężną Polskę w tamtym czasie.

## **2. Kawiarenka pana Widelskiego, to był inny świat**

Ciocia Marysia od czasu do czasu przysyłała nam paczki. W paczkach był rarytas. Kawa – niemielona, mniej więcej w takich kilogramowych opakowaniach. A że było ciężko, no bo tata mój – to była prywatna inicjatywa wtedy, i no władza ludowa próbowała zmienić to. I był okres dla nas bardzo trudny wtedy. Mama szła z kawą do pana Widelskiego. I tu chcę o tym powiedzieć, bo to jest bardzo miła i przyjemna ciekawostka z tamtego okresu czasu. Pan Widelski miał mini kawiarenkę przy Teatrze Osterwy naprzeciwko kościoła na [ulicy] Narutowicza. To był inny świat. Niewiadomo jak wchodził w posiadanie kawy, ale pan Widelski miał najróżniejsze gatunki. Można sobie było poprosić brazylijską albo indyjską, albo jakąkolwiek inną. Kawa podawana była w cudownych chińskich filiżankach do kawy – nie mylić z filiżankami do herbaty. Pokazywało się na półce, którą sobie kawę życzył, pan Widelski w młynku ją rozdrabniał i w ciśnieniowym ekspresie do kawy – na tamte czasy – była zaparzana kawa, cudowna kawa w maleńkich filiżankach. Tam nie chodziło się, żeby posiedzieć, bo tam miejsca na to nie było. Były dwa maleńkie stoliczki, praktycznie na stojąco półeczka, ale na ulicy była kolejka. Ktoś wychodził, następny wchodził. Na zakończenie kawy na spodeczku były położone dwa-trzy ziarenka kawy na tak zwaną zagryzkę, na aromat. Pan Widelski – starszy, szpakowaty pan ubrany był też w kolorze kawy. To zapamiętałem. To był zupełnie inny świat. Ta biedna, siermiężna Polska, gdzie w dyrektorskich gabinetach piło się kawę tak zwaną po turecku, czyli sypaną, co jest chyba najbardziej ordynarnym

sposobem parzenia kawy i zderzenie dwóch światów: kawa u pana Widelskiego. Pan Widelski oprócz tego, że podawał kawę, znał bardzo dużo takich złotych myśli i za każdym razem taką złotą myśl rzucał. Jedną z nich zapamiętałem, bo to były naprawdę warte spisywania te jego myśli. A ta jego prawda, która nawiasem mówiąc mnie się w życiu wielokrotnie sprawdziła, to jest że: wszędzie można dojść, tylko trzeba umieć wyruszyć.

[Kawiarnia] funkcjonowała bardzo długo. Ona nie została zlikwidowana, po prostu podejrzewam, że no w końcu pan Widelski był w starszym wieku. Teraz tam chyba też jest kawiarenka, ale fason już nie ten, już ten świat prawdopodobnie nie powróci. A gdyby powrócił, to poszedłbym tam na kawę jeszcze raz.

### **3. Moje życie było zainspirowane książką**

Przede wszystkim chciałem powiedzieć, że moje udane życie – tak muszę to powiedzieć, bo było bardzo barwne: i klub górski, i wyczynowy sport, i Afryka – to wszystko było zainspirowane książką. Ja całe życie czytam. W wieku lat dwunastu do czternastu czytałem nałogowo, całymi dniami i z latarką pod kołdrą, bo mama nie pozwalała. Przeczytałem wszystko, co wartościowe w niewielkiej bibliotece na ulicy Konopnickiej. Pani bibliotekarka – zawdzięczam jej wiele, bo nie podsuwała mi pozycji takich powiedziałbym detektywistyczno jakichś, tylko zachęcała mnie do czytania klasyki: Remarque'a, innych w tamtym czasie francuskich pisarzy. Później moimi ulubionymi pisarzami był Melchior Wańkowicz, a z zagranicznych Ernest Hemingway. Przeczytałem chyba wszystko, co napisali. Z książką nie rozstaję się do dzisiaj. Mniej więcej tempo mojego czytania to jest jedna książka na dwa tygodnie, ale jak to się pomnoży przez moje dosyć długie życie, to wychodzi ponad tysiąc pozycji, a każda książka to jest wiedza. Tym bardziej że ja czytałem na przykład jeżeli gdzieś tam o Meksyku, czy o Indiach coś, to ja czytałem z atlasem w rękę. I to zostaje. I zostaje wtedy bardzo duża wiedza o świecie. I to bardzo ułatwia później życie, jeżeli jest się no nie powiem uczonym, ale odczytanym. Dlatego gorąco polecam dzisiaj. Boleję nad tym, że statystyki mówią, że w Polsce czyta się bardzo mało, bo czytać warto. A pozycje książkowe przeżywa się zupełnie inaczej. Czytałem kilkakrotnie Ogniem i mieczem, i widziałem nakręcony film. To są zupełnie dwie różne rzeczy, aczkolwiek film też warto obejrzeć, bo jest fajny. No zostałem wyposażony przez pana Boga bardzo bogato, bo dostałem rozum i wolną wolę. Rozumem mam się kierować w swoich poczynaniach, a wolna wola to jest to, że mogę wybierać, nawet między dobrem a złem. Bardzo duże znacznie w moim życiu miała książka pana profesora Kotarbińskiego, który napisał książkę pod tytułem: Zasady skutecznej roboty. To była książka za granicą bardzo popularna, w Polsce mniej, bo w tamtym czasie, powiedzmy, kadra kierownicza to nie była na najwyższym poziomie. To był czas nazywany Rzeczpospolitą Głównych Księgowych, bo główny księgowy był uczony, w przeciwieństwie do dyrektora, który był „nasz człowiek”. Dyrektor

wszystko podpisywał, co zaparafował główny księgowy. A więc z czytaniem Kotarbińskiego to nie było zbyt częste. Aczkolwiek pracując za granicą spotkałem tłumaczenia w innych językach.

#### **4. Spełniony człowiek, to jest człowiek zintegrowany**

Drugie to już było spotkanie nie z książką, tylko z osobą bardzo dla mnie ważną. To jest ksiądz profesor Franciszek. I on powiedział znamienne słowa, że: spełniony człowiek to jest tak zwany człowiek zintegrowany. Człowiek zintegrowany to jest człowiek, który na mniej więcej jednym poziomie dba o ciało i o umysł, i sferę duchową. I zintegrowany to znaczy jeden poziom. Jeżeli ktoś ma na przykład wyższe wykształcenie z jakiejś dziedziny, to powinien być na odpowiednim poziomie sportowym, zadbania o ciało i na odpowiednim poziomie, jeżeli chodzi o sprawy duchowe. Ja starałem się to robić i jestem pewien, że to moje życie przeszło w sposób udany, to między innymi dlaczego? No bo mogą być różne skrajności. Wyobraźmy sobie doskonałego naukowca, który tak jest pochłonięty nauką, że na nic innego nie ma czasu. To nie jest człowiek zintegrowany. Możemy sobie wyobrazić bardzo dobrego sportowca, na przykład piłkarza, którego zarobki można liczyć w milionach, a u którego rozum nie idzie w parze z wysokością dochodów. Młodzi ludzie, osiemnaście, dwadzieścia, dwadzieścia trzy lata nagle dostają do ręki wielkie pieniądze. Niestety po zakończeniu kariery sportowej nie zawsze z tych pieniędzy potrafią korzystać w taki sposób, żeby było dobrze. Może też być osoba całkowicie pochłonięta sprawami duchowymi, która odstawia na margines, że tak powiem, pracę, zero wysiłku fizycznego. To nie są osoby zintegrowane. I teraz człowiek każdy jest przeznaczony do życia zbiorowego, w grupie. Taką najmniejszą komórką to jest rodzina: mąż i żona. Ja znowu miałem bardzo wielkie szczęście, bo mam wspaniałą żonę. Do dzisiaj chodzimy w parze. Tak sobie czasami żartujemy, że stale razem, bo jedno umie czytać, a drugie pisać.

#### **5. Poznałem żonę w bardzo ekstremalnych warunkach**

Poznałem żonę w bardzo ekstremalnych warunkach, bo o północy na Łysej Górze przy pełni księżyca. No żeby bliżej powiedzieć, o co chodzi, bo takie zdarzenie wydaje się bardzo egzotyczne, po prostu żeby nie pójść na pochód pierwszomajowy pojechaliśmy na rajd w Góry Świętokrzyskie. Zakwaterowali nas w Nowej Słupii, a stamtąd jest wejście na Łysicę. A księżyc świecił w pełni, no to idziemy, no i tam śmy poszli. I tam śmy siedzieli, patrzyliśmy na księżyc, słuchaliśmy wiatru. I tam akurat po raz pierwszy spotkałem się z moją przyszłą małżonką. Małżeństwo. Są trzy podstawowe filary. Jeżeli któryś z nich szwankuje, zaczyna szwankować małżeństwo. A te filary trzy są takie: wspólny dach, wspólny stół i wspólne łóżce. I znowu, można przytoczyć różne anomalie. Nie śpimy razem, bo on chrapie. Można wynieść stół

rodzinny, przy którym spotyka się rodzina, zastąpić go jamniczkiem, dwoma fotelami przed telewizorem, ale to już nie jest to. W domu powinien być stół rodzinny, przy którym rodzina cała się spotyka.

## **6. Za późnego Gierka otworzono już okienko z kulturą zachodnią**

Ten okres to się już zaczął za, ja to nazywam, późnego Gierka, kiedy nie otwarto granic jeszcze na oścież, ale otworzono, że tak powiem, okienko z kulturą zachodnią. W moich czasach jeżeli był na przykład film francuski „Nędznicy”, to nie można było pójść do kina Wyzwolenie na ulicy Peowiaków i kupić bilet. Nie. To się nie udało, dlatego że okienka kasowe w ramach przedsprzedaży otwierano rano i rano ustawiała się kolejka. A ta kolejka to były bardzo barwne postacie – koniki lubelskie, którzy zajmowali się wykupywaniem biletów, a następnie na ulicy odprzedawali je po wielokrotnie wyższych cenach. I nagle za Gierka okazało się, że napływ kultury francuskiej jest większy. Nawiasem mówiąc Gierek spędził część swojego życia we Francji. Natomiast nie mogę mu darować tego, że jako licencję wziął małego fiata. To jest samochód, którym student na zachodzie jedzie na wykłady albo gosposia na targ po zakupy. Na samochód rodzinny, jaki był bardzo potrzebny wtedy w Polsce to nie nadawało się zupełnie.

## **7. Jak załadować malucha na podróż zagraniczną?**

Widziałem maluchy ciągnące przyczepy na przykład w Chorwacji, dawnej Jugosławii. I zdarzenie widziałem takie, kiedy pod górę przyczepa malucha zaczęła ciągnąć do tyłu i osoby wyskoczyły, że tak powiem i podepchnęły pod górkę, żeby maluch z przyczepą mógł [wyjechać pod górę]. Jak załadować malucha na podróż zagraniczną? To już była wyższa szkoła jazdy. Wszystko było zminiaturyzowane. Ja brałem udział w takich wyjazdach, no nie maluchem wprawdzie, ale też samochód był silnie załadowany, dlatego że myśmy nie mieli wtedy pieniędzy, tylko trzeba było jak najwięcej rzeczy wziąć, wszystko mieć swoje, łącznie z jedzeniem. I dwa zdarzenia z takiego wyjazdu: załadowany samochód, jechaliśmy na trzy tygodnie do Jugosławii, tam obowiązywała waluta w dolarach, myśmy mieli sto dolarów na wyjazd, praktycznie trzeba było jeszcze na granicy zatankować do pełna, ale trzeba było jeszcze tam zatankować, żeby wrócić do granicy, zanim zatankuje się znowu. Żona upiekła miodownik, bo miodownik to się długo konserwuje, ale samochód był załadowany, córki dwie jechały z tyłu, żona obok mnie i nagle żona do mnie mówi: „Słuchaj, a gdzie pierniki?” A już mieliśmy wyjeżdżać. No okazało się, że pierniki są zawinięte w jakieś tam ręczniczki, żeby nie czerstwiały, ale już przynieśli na dół te pierniki i do samochodów nie dało się ich wcisnąć. Gdzie położyć? No trudno, na podłodze przed tylnymi siedzeniami. „A wy dziewczynki uważajcie, bo to są pierniki”. Ale dziewczynki nie uważały, pierniki z pierników zamieniły się w coś, co

przypominało taką tartą cegłę. Jak byłem mały, w sklep śmy się bawili, to się cegłę tarło na tarce, prawda, i tam rozważaliśmy to bawiąc się w sklep. Ciekawostka: jesteście na kampie po posiłku, no i żona łyżeczką sypała górkę tego piernika miodowego na deser. Podchodzili do nas: „Przepraszam, państwo, co wy jecie i gdzie to można kupić?”. No i następne zdarzenie, jak to się wtedy odbywało, zatankowałem paliwo, żeby dojechać do granicy. Dziewczynki loda jadły na spółkę, bo już zostały nędzne, że tak powiem, grosze. I młodsza córka mówi: „Tata, jakie piękne tu panie jedzą brzoskwinie. Kup mi chociaż jedną brzoskwinę. No liczę – nie mogę, bo wtedy było albo jechać i być przygotowanym na to, że są spartańskie warunki, albo siedzieć w domu. Myśmy wybrali jako górolazy opcję, żeby jechać, bo byliśmy do trudnych warunków zahartowani. Ja byłem na rajdzie w Bieszczadach dwa tygodnie, jakkolwiek baza była zero. Nie było sklepów, nie było dróg. Były tylko Bieszczady i my. I dwa tygodnie trzeba było przeżyć. Później jeden z moich kolegów, który brał udział w tym rajdzie, zarabkował w ten sposób, że organizował w różnych krajach świata tak zwane szkoły przetrwania, a zaszczerpił się tam, w Bieszczadach. Tam śmy podstawy przerabiali. I ja nagle przyszła z sąsiedniego namiotu Polka i mówi: „Czy państwo nie macie takiej zupy w proszku?”. A myśmy mieli chyba jeszcze z dziesięć, może piętnaście takich torebek, bo tam na gorąco nie dawało jeść się, bo upał był. No to jej jedną śmy sprezentowali i nagle zapaliła mi się w głowie żaróweczka. Wezmę te zupki i pójdę do tego pana, co sprzedaje brzoskwinie. I stoję w kolejce drugi czy trzeci, a przychodzi facet i pyta się: „Czy pan nie ma – bo tam wszyscy wszystkim handlowali. – Czy pan nie ma takich zupek polskich w proszku?”, a on mówi: „Nie, nie mam”. A ja się odzywam: „Ale ja mam”. Za te dwanaście zupek dostałem skrzynkę brzoskwiń. Jedliśmy, zostawiliśmy na drugi dzień i jeszcze obczęstawaliśmy sąsiadów.

My chcieliśmy zobaczyć Jugosławię, ale byli tak zwani plażowicze – to robiło się w ten sposób, że trzeba było mieć kupiony nowy sprzęt. Wcale nie tak łatwo było go kupić. Butle, namiot duży, obszerny, śpiwory – całe wyposażenie turystyczne. I jechali na pierwszy kemping do Jugosławii i tam wystawiali na namiocie: Do sprzedania. Przychodził Jugosłowianin, dawał zadatek pięćdziesiąt procent i umawiali się, kiedy może po ten sprzęt przyjechać. Dwa tygodnie siedzieli nad morzem w tym sprzęcie, po dwóch tygodniach zwijali, przekazywali go, dopłacał resztę pieniędzy, wracali do kraju i za te pieniądze bardzo szybko, był rok czasu, żeby kupić nowy sprzęt. Rok czasu wcale nie było dużo, bo ten sprzęt rzucali od czasu do czasu, nie było tak, że: dzień dobry, poproszę śpiwór albo poproszę turystyczną butlę. Nie, tak nie było. Pokazywało to się w sklepach od czasu do czasu. Trzeba było polować, albo być umówionym z panem sklepikarzem, żeby zadzwonił.

## **8. Ruch Światło-Życie i ksiądz Franciszek Blachnicki**

Pamiętam procesję na Alejach Racławickich, kiedy na końcu tej procesji jechał

samochód, na którym były puste ramy i te puste ramy były ubrane bardzo pięknie kwiatami. To był symbol, bo pielgrzymka Matki Bożej po Polsce była zakazana, a obraz był aresztowany, więc Polacy czcili ramy i zbierały się tysiące ludzi. Ja jeszcze chcę powiedzieć o jednej bardzo ważnej rzeczy. A mianowicie: powstał w latach osiemdziesiątych, no siedemdziesiątych ruch Światło-Życie. I widziałem, bo tak jak mówię, przebywałem bardzo dużo w górach, Pieniny – to widziałem na własne oczy, w Pieninach były tak zwane oazy, głównie młodzieżowe. W bardzo prymitywnych warunkach: spanie po stodołach, na różnych kwaterach u górali i tak dalej, pod namiotami. I ja w tym czasie dowiedziałem się, że w górach w tych oazach w okresie wakacyjnym bierze udział ponad dwadzieścia tysięcy młodzieży. Zetknąłem się z tym i widziałem, jak wspaniały duch panuje na tych oazach. To był ruch stworzony przez księdza profesora Franciszka Blachnickiego, który był fenomenem na ówczesne czasy, bo łączył trzy rzeczy. Franciszek Blachnicki – kandydat na ołtarze, proces beatyfikacyjny w toku, jako młody człowiek był harcerzem. Jako harcerz przeszedł natychmiast do konspiracji w 1939 roku. Był aresztowany i skazany na karę śmierci. Nie był w tym czasie bardzo wierzący. W celi więziennej nastąpiło jego nawrócenie, a Niemcy przez pomyłkę i swoją skrupulatność nie wykonali wyroku, bo przepis był taki, że wyrok powinien być wykonany w ciągu dziewięćdziesięciu dni. Ktoś, coś tam przeoczył i po dziewięćdziesięciu dniach zamiast kary śmierci pojechał do Oświęcimia, który przeżył. Był osoba duchowną, później połączył trzy rzeczy. Nawiasem mówiąc mnie to się bardzo podoba, bo akurat to są moje rzeczy, a mianowicie połączył harcerstwo z turystyką pieszą i dodał do tego podstawową formację religijną. I tu powiem bardzo ważną rzecz. Do czasu przyjazdu po raz pierwszy ojca świętego do Warszawy, z tych dwutygodniowych oaz, tej formacji duchowo-, że tak powiem harcersko-turystycznej, skorzystało około milion osób. I można sobie zadać pytanie: w tym milionie, który witał ojca świętego ile było osób z tej formacji? Jeszcze że to orędzie zostało tak przyjęte – jaka w tym jest rola tego ruchu? Ruch nazywa się Światło-Życie. A niedawno będąc w drodze do Zakopanego w Krościenku, bo tam w Krościenku jest taka stolica tego ruchu Światło-Życie i otwarcie było takiej bardzo ciekawej ekspozycji na zboczu, w zasadzie tam jest cała historia Polski i ruchu w bardzo ciekawy sposób zrobiona. Bardzo dużo o ojcu świętym też. Jako taka między innymi atrakcja turystyczna. I akurat tak się zdarzyło, że byłem na otwarciu tak zwanej ścieżki. I we wstępnym wykładzie padło następne sformułowanie, że od czasu przyjazdu ojca świętego do dnia dzisiejszego, czyli to było w ubiegłym roku to otwarcie tych ścieżek, udział w formacji Ruchu Światło-Życie wzięło udział następne milion, razem dwa miliony. Czy to jest kropla w morzu? Czy może to jest ta kropla, co może przelać dzban? Czas pokaże, bo tak jak raz użyłem tego: czy to dobrze, czy to źle – tylko jeden pan Bóg wie.

## 9. Książki, Algieria i kop w górę

W okresie Solidarności funkcjonowało bardzo dużo różnego rodzaju wydawnictw. Były książki drukowane. Mnie na przykład wpadło w ręce takie wydanie na powielaczu mówiące o 1920 roku. Ja lubię czytać na temat różnych bitew, nawet mam taki zbiór bardzo ciekawy o polskich bitwach. Najchętniej czytam o wygranych. No i muszę tutaj powiedzieć właśnie, że [książek o bitwach] było niedużo, rozchwytywane i było pożyczane, że tak powiem, z ręki do ręki. I to też było bardzo ważne. Natomiast dla mnie to było jeszcze ważniejsze, dlatego że tak jak mówiłem ja pracowałem w Algierii. Ja pracowałem w grupie projektującej drogi, a konkretnie zajmowałem się mostami, ale tak zwani kooperanci, bo tak byliśmy tam nazywani przez miejscowych, byli bardzo liczni. Tam były uczelnie obsadzone przez Polaków, były różnego rodzaju kontrakty i Polaków było sporo. I teraz taka rzecz: z Algierii pod bardzo surowymi karami nie wolno było wywieźć trzech rzeczy: książek, kawy i lekarstw. Jeżeli na lotnisku znaleźli coś z tych rzeczy, to były bardzo duże nieprzyjemności do zjazdu z kontraktu nawet łącznie. Skąd brały się książki? Te osoby pracujące w Algierii, to albo były takie jak ja, którzy pojechali na kontrakt zawarty przez firmę polską, ale byli też i tacy, którzy dostali tak zwanego kopa w górę. To znaczy jeżeli na przykład nauczyciel czy profesor zbyt interesował się Solidarnością i był za aktywny, co się nie podobało, nagle dostawał propozycję: za fajne pieniądze może pan wyjechać do Algierii, bo tam jest taka szkoła i w tej szkole brakuje nauczycieli. I wyjeżdżał, ale wyjeżdżał mąż, nie jechała żona, bo to nie był ten czas. Później tak, ale wtedy nie. No i byli też ci, którzy zapisali się na wycieczkę do Francji, a we Francji wsiedli na prom do Marsylii. Znaleźli się w Algierii, bo mieli tam przyjaciół czy kolegów, którzy ułatwili im znalezienie pracy i to było jeszcze lepsze, bo były dużo lepsze zarobki, ale podpisał kontrakt na przykład na trzy lata i przez trzy lata nie mógł wrócić do kraju, bo był uciekinierem. Nie mogła dostać paszportu żona, bo była żoną uciekiniera, więc żona próbowała zapisać się na wycieczkę, najlepiej do Francji. We Francji panu przewodnikowi mówiła, że musi odwiedzić rodzinę, w związku z tym potrzebny jej paszport, bo odłącza się na chwilę. Brała w kieszeń paszport i odłączała się nie na chwilę tylko jechała na swój koszt do Marsylii. Z Marsylii na prom, wcześniej telefon do męża: wyjeżdż po mnie na dworzec. I już byli razem. Ale nie mogli wrócić do kraju, dopóki nie skończył się kontrakt. A nauczyciele akademicy mieli ten przywilej zawarty w kontrakcie, że przez okres wakacji, które tak jak u nas trwały dwa miesiące, w okresie najbardziej atrakcyjnym, letnim, dostawali podwójną pensję. No i teraz mam dwa miesiące urlopu i czteromiesięczną pensję. Co zrobić z urlopem? Polak potrafi. Szukało się znajomego we Francji i dzwoniło się najlepiej do ośrodków polonijnych: my jesteśmy tutaj w Algierii, dysponujemy pomieszczeniami. Chcieliśmy pojechać, zatrzymać się u was na kilka dni. Za to wy przyjedziecie do nas, to was odwiedzimy i przenocujemy, i nakarmimy. I to funkcjonowało bardzo fajnie, ale jaki ma to związek z książkami? Na zachodzie były drukowane książki nieprawomyślne. I pamiętam, że Doktora Żywago czytałem w Algierii na plaży. Na godzinę dostałem, a nade mną stał kolega i patrzył



na zegarek. I teraz: ci Polacy, którzy wracali z urlopu, zabierali książki drukowane na zachodzie. Dużo książek. Dwa pytania najczęściej miałem zadawane po powrocie: ile zarobiłeś? Oczywiście na to pytanie niekoniecznie musiałem szczerze odpowiadać. I drugie pytanie: a jak z upałami? No to ja mówię tak: „Z upałami to jest tak, że tam jest trzy miesiące jak nasza wiosna. Lubisz?”, „Lubię.”, „Nasza jesień to tam jest trzy miesiące wiosny. Lubisz?”, „Lubię.”, „Tam jest zima trzy miesiące tak jak u nas w październiku. Wytrzymasz?”, „Wytrzymam. No a zostało trzy.”, „Trzy miesiące to jest tak: a jak u nas jest minus dwadzieścia stopni, to co robisz?”, „No siedzę w domu”. I tam myśmy siedzieli trzy miesiące w domu. I wtedy się czyta. I ci wszyscy Polacy chętnie zabierali książki z całej Europy, przywozili je do Algierii, ale żadna książka z Algierii nie mogła wyjechać, bo był zakaz. A było miejsce, taka rodzina była, gdzie Polacy zbierali się, koncentrowali się. Są tacy, tacy ludzie, którzy mają zdolności, że tak powiem, gromadzenia wokół siebie wielu osób i tacy byli. I oni jeden pokój, bo mieli piękny kontrakt, oboje pracowali, piękne mieszkanie, jeden pokój mieli wolny i tam zrobili bibliotekę. I w tej bibliotece było około siedmiuset pozycji ściągniętych z całej Europy. Całe roczniki kultury. I jak ktoś lubi czytać, a doskwiera upał, to dla mnie to był żywioł. I ja tam, że tak powiem, miałem drugą falę patologicznego czytania, bo jak wzięło się niektóre rzeczy do ręki, to nie można się było oderwać.

## 10. Byliśmy ponad miarę atakowani propagandą

To było święto. To był bardzo duży kontrast, dlatego że przyjazd ojca świętego, ja nie spotkałem się osobiście w Lublinie, ale ojciec święty miał spotkanie na KUL-u, a małżonka moja, ponieważ jest absolwentką KUL-u to była zaproszona na to spotkanie, no i z jej ust znam relację, ale to był czas propagandy, a propaganda w wykonaniu pana Urbana była na bardzo wysokim poziomie. Pan Urban, którego ja nie považam, ale trzeba przyznać, że to była osoba wybitnie inteligentna, a poza tym miał wzorce, miał wzorce i przedwojenne, i z okresu wojny, i powojenne. I trzeba powiedzieć, że w robieniu propagandy to był profesjonalistą. I teraz byliśmy ponad miarę atakowani propagandą. Nastąpił u wielu osób taki odruch: tylko nie polityka. Jak były spotkania towarzyskie to: tylko nie rozmawiamy o polityce. Było takie pismo wydane dla dyrektorów Forum. To były przedruki z prasy zagranicznej i to pismo miało, że tak powiem, wspomagać tutejszą propagandę, bo były bardzo często w niej przedruki z prasy komunistycznej na zachodzie, a oprócz tego praktykowało się i praktykuje się, że polscy dziennikarze piszą artykuły o Polsce, które wysyłają i one są publikowane za granicą. I Forum to było coś takiego. I wtedy w ludziach, żeby dowiedzieć się, jaka jest prawda, to powstała umiejętność czytania między wierszami. Czytało się tekst propagandowy, ale były tam niektóre fakty, kojarzyło się w zupełnie inny sposób. I to było źródło informacji o tym, co naprawdę się dzieje.

## 11. Nikt nie marzył o tym, żeby Polak mógł zostać papieżem

Ten moment to pamiętam, bo wszyscy pamiętają, bo po pierwsze, to była niespodzianka, bo nikt się tego nie spodziewał. Po drugie: dla wielu Polaków papież to było coś otoczonego nimbem, jakiś symbol wielkości, tak bym powiedział, reprezentant kościoła, który liczy przecież miliardy wyznawców, więc nikt nie marzył o tym, żeby mógł zostać Polak papieżem, tym bardziej że wcześniej były, że tak powiem, pewne zasady, pewne mody. Najczęściej papieżami zostawali Włosi. I nagle: „Habemus papam!” i wszystkie telewizje się tego dnia zatrzymały, łącznie z tą naszą prawomyślną i na okrągło podawały ten komunikat. Nie było osoby, która by o tym nie usłyszała, a wszyscy wiwatowali, no bo to jednak dowartościowanie Polski było bardzo duże, a i kardynał Wojtyła cieszył się też bardzo dużym szacunkiem. Człowiek związany z Lublinem i ojciec Franciszek Blachnicki, o którym wspomniałem, to również był związany z Lublinem, bo był wykładowcą na KUL-u. Powiedziałem profesor – nie był formalnie profesorem, bo władza nie zgodziła się, mimo że on wszystkie warunki spełniał. Nawiasem mówiąc jest takie dziewięćdziesięcioprocentowe przypuszczenie, że funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa pomogli mu zabrać się z tego świata na terenie Niemiec w Carlsbergu. I ojciec święty przyjaźnił się z księdzem Franciszkiem Blachnickim. Dla jednego i drugiego pasją była turystyka. I wędrowali razem. I ksiądz Franciszek Blachnicki ukochał góry, a szczególnie Krościenko, Pieniny i tak samo Ojciec Święty, który w młodości bardzo dużo wędrował, podróżował. Widziałem jego filmy ze spływów kajakowych. A Tatry to chyba nie ma miejsca, gdzie by nie był. Wszędzie, gdzie się w Tatrach zajrzy, to wszędzie są tablice: Tu był ojciec święty. Nawet, ja nazywam się Zięba, na Polanie Chochołowskiej jest taki szałas – to po góralsku nazywa się koliba. I prowadzą go właśnie Ziębowie. I ojciec święty odwiedził Ziębów na Dolinie Chochołowskiej w czasie słynnego swojego spotkania z [Lechem] Wałęsą. W schronisku [w Dolinie] Chochołowskiej było spotkanie niby tajne, ale no w świetle dzisiejszej wiedzy to wiemy, że nie było tajne. Wałęsa czekał na ojca świętego tam w schronisku w Dolinie Chochołowskiej.

## 12. Wreszcie weszliśmy w posiadanie telewizora marki Rubin

To był taki okres czasu jak gdyby wyjęty z życiorysu. Niby wszystko było normalnie, a było nienormalnie. No bo była godzina policyjna, byli komisarze. Chcieliśmy mieć kolorowy telewizor, taki rosyjski, taki wielki, więc trzeba się było zapisać, ponieważ obok mojego domu był taki sklep elektrotechniczny, więc w tym sklepie przyjęto, ustawiono nas w kolejce po kupno telewizora. I czekaliśmy chyba dwa lata. I przyszedł stan wojenny. I idę do sklepu i pytam się: „Ile jeszcze będę czekał? Jak wygląda ta kolejka?”, a na to pani w sklepie mi mówi: „Przecież pan już telewizor otrzymał”. Ja mówię: „Jak otrzymałem, jak nie otrzymałem?”, „Jest pokwitowane, że

pan telewizor odebrał”. Okazało się, że to był proceder, który ten sklep uprawiał, ale ja nie odpuściłem. Skarżyć się nie było do kogo, więc poskarżyłem się do komisarza wojennego. Nie wiem, co on zrobił, ale za trzy dni na wystawie mojego sklepu pojawił się duży, opakowany telewizor. Dlatego go wystawili, że zgubili do mnie telefon. Chcieli mi go przekazać jak najszybciej, bo mieli duże nieprzyjemności z tego powodu, więc go wystawili na wystawie. Idę, patrzę: jest telewizor, aha! No to przyszły telewizory. Pójdę jeszcze raz, spytam co z moim. A pod sklepem stoi kolejka około trzydziestu osób. Mówią: „Hola, proszę pana! Pan się musi zapisać, na koniec kolejki. A będzie sklep otwarty w poniedziałek. My całą noc tu funkcjonujemy i co dwie godziny jest sprawdzana lista”. Ja obok na parkingu miałem samochód, więc co jakiś czas przychodziłem, siadałem, pokazywałem się w kolejce i szedłem do samochodu posiedzieć w nocy, ale jakiś tam był przewodniczący kolejki i powiedział, że siedzenie w samochodzie się nie liczy. I wypadłem z kolejki, ale rano na otwarcie sklepu przyszedłem, bo ja chcę się tylko dowiedzieć. Okazuje się, że te wszystkie osoby poszły z kwitkiem, bo telewizor był dla mnie. Jeden jednością przyszedł i w ten sposób, oczywiście po opłaceniu kosztów, weszliśmy w posiadanie wielkiego telewizora produkcji radzieckiej, wielkiego – znaczy nie z dużym ekranem, tylko z bardzo dużą wagą, około pięćdziesięciu kilo, bo trzeba było co najmniej dwie osoby, żeby go wnieść do domu. Tak stałem się posiadaczem, chyba nazywał się Rubin.

### 13. Pierwsze Boże Ciało w stanie wojennym

Z żoną należeliśmy do parafii na Poczekajce. Parafia została podzielona. Mieszkam na LSM-ie tu w okolicach [ulicy] Grażyny, Pana Tadeusza. Jest nowa parafia. Nowa parafia to zaczynała od tego, że przyszedł nowy ksiądz proboszcz, że jakiś młody człowiek chodził po domach i zapraszał na spotkanie z nowym księdzem proboszczem. I zebraliśmy się na wzgórzu, tak zwanym słonecznym, tam gdzie teraz kościół stoi, i przedstawił nam się nowy proboszcz: „Ja tu będę teraz proboszczem. Mam do państwa prośbę, pomóżcie mi wynająć jakieś mieszkanie”. No i później wybudowana była kaplica i pierwsze Boże Ciało w stanie wojennym, bo taki mamy temat teraz. Nie ma nic, więc panie wymyśliły, że procesja to będą niosły dzieci pierwszokomunijne, ubrane dziewczynki na białe i będą poduszki z szarfami, bo poduszek jest dużo, szarfę doszyć – żadna sprawa. I takich poduszek z szarfami uszyto chyba ze cztery. No to będzie jakaś namiastka procesji. Moja żona zajmowała się, bo córka nasza też sypała kwiatki, więc z nimi taką organizacją no trzeba było dziewczynkom powiedzieć, która ma nieść, jak i tak dalej. Te poduszki były nawet ładne, ale czterech poduszek nie dało się skompletować. Próba była na następny dzień. Żona uzgodniła z moimi córkami, żeby oddały swoje kartki na cukierki i czekoladopodobne wyroby. Żona to wszystko wykupiła i jak przyszły te dziewczynki do próby, to poczęstowała wszystkie czekoladkami i cukierkami. Dziewczynki, nasze córki, miały smutne miny w tym czasie, ale dla dobra sprawy [poświęciły się].

Następna próba: przyszło tyle dziewczynek, że trzeba było uszyć i zrobić dodatkowo. W sumie było dwadzieścia poduszek razy cztery – po cztery dziewczynki. A żona moja, dwie sąsiadki przez całą noc i następny dzień do próby wypiekały ciasteczka i robiły cukierki, bo już kartki się skończyły. I potem było tyle dziewczynek, że ksiądz proboszcz powiedział: „Dwadzieścia poduszek do niesienia to wystarczy, już więcej panie nie przysposabiajcie”. Do samego Bożego Ciała na każdej próbie dziewczynki dostawały kruszące ciasteczka, ale cukier też był na kartki. Nie pamiętam, jak było z mąką. Dzisiaj nasza parafia jest jedną z lepiej funkcjonujących w Lublinie. Piękna parafia. I szczerze powiem: jak słucham dzisiaj tych ataków na kościół, niestety moje praktyczne kontakty z parafią mam zupełnie inne. W naszej parafii nie spotkałem złych księży. Wszyscy pracują ponad siły, ofiarnie i myślę, że przy takiej okazji jak to nagranie, to zarówno proboszczowi jak i księżom trzeba podziękować. Trzeba podziękować między innymi za wyróżniające się otoczenie kościoła.

#### **14. W czasie przemian otworzyłem firmę, branża była nietypowa**

Osobiście: marnie, bo nie mam pracy. Biuro projektów przestało funkcjonować. Transformacja – nic się nie buduje, nic się nie projektuje. Nie projektuje się – nie ma pieniędzy, biuro projektów zostaje zlikwidowane. Biuro projektów budownictwa komunalnego to na [ulicy] Leszczyńskiego, to było największe biuro projektów w Lublinie. Inwestprojekt jeszcze był dużym biurem. Przestaje istnieć. Wszyscy idą na zieloną trawkę. Nie mając co do garnka włożyć, otworzyłem firmę, bo wszyscy otwierali firmy. Nie była to firma, która przysporzyła kokosów, ale jak ja to mówię: na zupełną starczyło, bo prowadziłem to dwanaście lat będąc już na rencie i na emeryturze. A mianowicie zająłem się produkcją świec. Wszystkich świec, od zniczy poprzez kolejno, że tak powiem, najróżniejsze pomysły, aż do tych paschałów takich wielkich, które są używane w kościołach. Robiłem wszystko sam. Wyprodukowałem, o tymi o dwoma rękami około dwadzieścia tysięcy świec. I wyprodukowałem dwadzieścia tysięcy opakowań kadzidła kościelnego.

Jadąc do Włodawy – bo żona pochodzi z Włodawy – zajechaliśmy do znajomego księdza, który prosił mnie, żeby odlać mu takie świece na konkretny wymiar, bo miał takie mechaniczne świece, do których wkładało się prawdziwą świecę, tam sprężyna to popychała. I takich świec nigdzie nie mógł kupić, zamówił u mnie. Ja mu zawiozłem to, ale jak przyjechaliśmy, to akurat był wieczór w kościele, tak że weszliśmy do kościoła, zobaczyliśmy, że ksiądz odprawia, no to usiedliśmy w ławkach, czekaliśmy, aż to nabożeństwo się skończy. I był cudowny zapach, bo było kadzenie. No i zajechaliśmy po tym nabożeństwie ksiądz poprosił nas do siebie na herbatę. I tam mu wręczyłem te zamówione świece i mówię: „Jaki piękny był zapach w kościele”, „Ach, tak, proszę pana. To jest problem, bo mnie na imieniny pani Maria robiła te kadzidło. Dostawałem zawsze od pani Marii na imieniny.” – pani Maria to pracowała w Annopolu jako opiekunka chorych, bo tam było coś w rodzaju

sanatorium – Wie pan co, gdyby takie ktoś teraz robił kadzidło, jakżeż to by było pięknie. Nie ma. Są syntetyczne albo takie, że ludzie kaszlą w kościele”. No to sobie pomyślałem: trzeba się tym zainteresować, ale co w tym jest? Więc pierwsza moja próba odszukania pani Marii. Okazało się: pani Maria wyjechała za granicę. Ten kontakt spalony. No to pytam się księdza: „A ksiądz ma tego kadziła trochę jeszcze?”, „No mam”. I tak mi o, z pięć deko tego w torebeczkę odsypał. Nie będę mówił nazwiska, ale przyjaźniłem i przyjaźnię się z osobą, która na farmacji była jednym z wykładowców w tamtym czasie. Poszedłem, mówię: „Słuchaj, takie tutaj mam. Czy to dałoby się w jakiś sposób zobaczyć?”, no bo tam mają i ziołolecznictwo. Mówi: „Wiesz co? Dobry pomysł, ja to dam na kolokwium”. I dał to studentom na kolokwium. No i tam miałem dwadzieścia tych prac, miałem wgląd w te prace i tam sobie wypisałem, które występują najczęściej. I tak metodą zawężenia plus literatura doszedłem do składu. I zacząłem robić, ale to było takie na czwórkę kadzidło, bo jeden ze składników to dodawałem ładan. Ładan to jest takie kadzidło, które jest używane w kościele prawosławnym, pięknie pachnie, ale to trzeba było go przywieźć, ono było dosyć drogie, to mi nie bardzo wychodziło. I pojechaliśmy całą rodziną nad morze. I żona zaczęła mnie męczyć, chciała sobie kupić ładny pierścionek. Widziała na tych stoiskach takich przy wejściu na plażę. A obok stała taka pani, mówi: „Niech pani tu nie kupuje, bo tu jest bardzo drogo. Trzeba pojechać do producenta. Tam pani o połowę taniej kupi i ładniejsze”, „No a gdzie tego producenta szukać?” – podała telefon. Zadzwoniliśmy: „A tak, proszę przyjechać. Pierścionków mamy dużo”. Pojechałem z żoną, weszliśmy tam do tego pomieszczenia, miał takie dygestorium, wkładał do niego ręce za szybką i w środku była obrabiarka. Obrabiał te bursztyny. I tutaj miał taki otwór jak w szkolnych ławkach na kałamarz, i szczoteczką zmiatał te okrawki bursztynu. Kupiliśmy pierścionek. Zawiązała się bardzo sympatyczna rozmowa. Ja mówię: „Proszę pana, ale co pan robi tam, bo tam pan zmiatał to wszystko?”. Mówi: „A ja w piwnicy, proszę pana, mam worek i to rurką leci do piwnicy.”, „A później co pan robi?”, „A chłopakom daję, bo wie pan, z tego jest bardzo przyjemny zapach i jak chłopaki palą ognisko, to na rozpałkę.”, „A dużo pan tego ma?”, „No nie wiem, musiałbym zobaczyć, ale z worek pewnie jest”, „A jak ja chciałbym to kupić, to ile?”, „A niech pan zabiera, bo ja mam tylko kłopot”. Na siłę mu wcisnąłem dwie stówki. Chciał żonie jeszcze dodać pierścionek, ale już się nie zgodziliśmy. Wróciłem do domu z workiem okrawków z bursztynu. Dodałem to do mojego kadzidła. Kadzidło trafiło do Częstochowy i z Częstochowy mam telefon: „Przyjeżdżamy do pana, bo nam potrzebne dwa tysiące opakowań”. Trzeba było już pomyśleć o tym, żeby kupić jakieś młynki i inne rzeczy do tego. Na przyszły rok albo na przyszłe lata, to już był to sposób na życie, a mianowicie jechaliśmy na wybrzeże, rodzina leżała na plaży, zięciowie, bo jechaliśmy na trzy samochody na przykład, a ja jeździłem po wybrzeżu i szukałem producentów bursztynu. I do domu wracałem, to trzy samochody były załadowane okrawkami z bursztynu. I w ten sposób okazało się, że moje kadzidło jest najlepsze w Polsce.

## 15. O całym moim życiu zdecydował jeden moment

O całym moim życiu zdecydował jeden moment, a mianowicie: początek roku czwartej klasy technikum drogowego. I ja, nie wiem z jakich powodów, bo nie pamiętam, spóźniam się na lekcję pierwszą, nie na otwarcie, tylko na pierwszą lekcję. Zamiast o 8:00 pojawia się w szkole 8:10 czy 8:15. Wchodzę do klasy: wszystkie miejsca są zajęte, tylko pierwsza tak zwana ośła ławka [jest wolna], siedzę z nauczycielem, był przedmiot mostów. Pan nauczyciel był głuchawy. I moi koledzy, którzy wszyscy chcieli być drogowcami, a żaden nie chciał być mostowcem, bo to trudniejsze, nie uczyli się mostów, ale jak szli do odpowiedzi, to mówili: „Marian, podpowiadaj”. I ja trzymałem książkę na kolanach i z książki cichutko czytałem. Pan profesor nie słyszał, a delikwent powtarzał. I bardzo często na tróję to wystarczało, ale ponieważ ja tak obsługiwałem całą klasę, to przyszła kolejka i na mnie do odpowiedzi, ale ja byłem odczytany, bo ja ten zeszyt przeczytałem dwadzieścia razy, więc wyrecytowałem wszystko i dostałem piątkę. I teraz nas było dwudziestu absolwentów, bo szkoła była trudna. Zaczynało chyba sześćdziesięciu, doszło do końca dwudziestu. Dziewiętnastu robiło pracę dyplomową z dróg, a ja cały czas miałem piątkę, więc profesor mówi: „Słuchaj, przynajmniej żeby jeden robił pracę dyplomową z mostów”. No i zrobiłem. I koniec roku, rozdanie świadectw, tak zwane nakazy pracy, a w komisji siedział dyrektor wojewódzkiego zarządu dróg publicznych, bo ówczesnie mówiło się, że WZDP patronował szkole. Z tej racji dyrektor był zaproszony na wręczenie dyplomów ukończenia szkoły. No i siedział przy stole, i oglądał te prace, bo wszystkie prace dyplomowe były wyłożone na stole. I zainteresował się pracą mostową. Ona była dosyć ładnie zrobiona. Na bezrybiu i rak ryba. Akurat potrzebowali do działu mostów młodego technika. I zostałem wybrany ja. Wszyscy koledzy pojechali na cztery wiatry, bo był nakaz pracy. Jedni gdzieś tam do Gliwic, inni do Puław, trzeci do Hrubieszowa, trzech szczęśliwców wytypowanych przez Związek Młodzieży Polskiej pojechało na studia do Warszawy, a ja zostałem w Lublinie, co pozwoliło mi zresztą uprawiać mój ukochany sport – kolarstwo. Piętnaście minut się spóźniłem, a potem już wszystko poszło. A potem poszły studia, a potem specjalizacje mostowe, dosyć wcześnie uzyskałem uprawnienia do projektowania mostów. A potem Afryka, a potem Bruksela przez jedno tylko piętnastominutowe spóźnienie się na pierwszą lekcję w nowym roku szkolnym do czwartej klasy technikum.

## 16. Wspomnienie o nauczycielach z technikum

Wtedy były w modzie grzebienie aluminiowe. Ten grzebień był bardzo fajny, bo można było w cymbergaja nim grać, można było na ząbkach – niektórzy potrafili wygrywać melodie, bo ząbki były różnej grubości. A jak upadł na podłogę, to wydawał

określony dźwięk. No i któremuś upadł grzebień. Pan profesor zdenerwował się oczywiście. „Schowaj tutaj!” i tak dalej, to później cały czas upadały grzebienie w czasie lekcji, cztery-pięć razy. I pewnego dnia ogłosili zbiór złomu w szkole, każdy do szkoły miał przynieść złom. I mój kolega przyniósł rurę taką, która ważyła z pięć kilo, bo był rekordzistą klasy w zbiorce złomu, bo to były nagrody. Kto najwięcej przyniesie, dostanie nagrodę. I położył rurę na parapecie, ale rura jak to rura, wiadomo, że lubi się stoczyć, więc je podparł linijką taką. No i upadł jeden grzebień: „Co tam się dzieje?!”, „Przepraszam, grzebień, panie profesorze”. Za chwilę drugi grzebień: „Co tam się dzieje?!”, „Grzebień, panie profesorze.” Już w pewnym momencie widzę, że mój kolega zabiera tą linijkę i ta rura pomaleńku zaczyna się toczyć. Pan profesor był odkręcony tyłem do okna a frontem do tablicy. No i niestety rura spadła na podłogę. Profesor się bardzo przestraszył, zrobił tak zwany wiatrak no i zapytał się: „Co się stało?”, a któryś drań z zimną krwią tak powiedział: „Grzebień, panie profesorze”. No mieliśmy inne wyczyny, o których nie godzi się tutaj mówić. Byłem normalnym uczniem i żywym chłopakiem, ale większość nauczycieli bardzo śmy poważali i lubili. Wiedzą nam imponowali, obyciem nam imponowali. To wszystko była pierwsza liga, jeżeli chodzi o sposób bycia, zachowania. Pan profesor Woronko, przywołam jego pamięć – lotnik RAF-u. Uczył bardzo ważnego przedmiotu – mechaniki budowli, statyki. Esteta. Jak narysował koło na tablicy, to mógł Pan przyłożyć cyrkiel i koło to było koło. Pani profesor Rudzińska. Myśmy byli uczeni już w tamtym okresie do produkcji. To było najważniejsze, żeby umieć budować. Cała reszta nieważna. Mieliśmy jedną godzinę języka polskiego tygodniowo. Uczyła nas pani profesor Rudzińska, ale tak potrafiła w nas zaszczepić, bo ona nie miała kiedy nauczyć, ale zaszczepić literaturą piękną. Ona nam na lekcjach, ponieważ wiedziała, że jak zada lekturę, to nikt jej nie przeczyta, to nam wybrane fragmenty najpiękniejsze czytała w szkole. Pół lekcji to czytała fragment z jakiejś literatury. I to nas, że tak powiem, rozciekawilo, że o ile wiem, to i ja, i moi koledzy od poezji, od literatury pięknej nie stronią. Zaszczepiła w nas to. Nauczyciele mieli różną przeszłość. Byli tacy, co byli w AK, odsiadywali wyroki i po wyrokach dopiero przyszli nas uczyć. Oczywiście każdy to wszystko chował, o tym się nie mówiło, bo bali się wszyscy. Bali się nawet słuchać radia. Słuchało się Londynu najczęściej, a muzyka była z Luksemburga. A sygnał Londynu to było słynne „bum, bum, bum!”. I te „bum, bum, bum!” dla niejednego to było przyczyną do kłopotów, bo chodzili tacy panowie pod oknami i słuchali, kto słucha „bum, bum, bum!”. Potem wołali na rozmowę. Czasami wychodziły inne rzeczy na jaw i nie kończyło się tylko na rozmowie. Ale „bum, bum, bum!”, no to w tym czasie funkcjonował taki kawał, dowcip góralski. A mianowicie: przychodzi do górala taki jegomość z miasta, czyli po ichniejszymu cepr i pyta się: „Góralu, byłem w ubiegłym roku tutaj u was, to mieliście takiego ładnego barana, a tego barana nie widzę.”, „A bo go zabiłem.”, „A dlaczego ście go zabili?”, „A bo mnie straszył.”, „No jak to was straszył? Przecież to wasz baran.”, „Tak – mówi. – Bo chodził pod oknami i wołał: UB, UB, UB!”. Między innymi takie, żeby się

nie wychylać – do dzisiaj niektórzy to mają. „Mówi się tu i ówdzie, że pałac kultury szpeci. Mnie się podoba, bo mam żonę i dzieci”. I inne rzeczy. Jak ktoś coś takiego mówił, to żeby ostrzec, to się pytał: „Słuchaj, ty jeździsz pociągiem?”, „No jeżdżę, a bo co?”, „A przy oknie siadasz?”, „Siadam, a bo co?”, „A wiesz, co jest napisane na oknie?”, „No co jest napisane?”, „Nie wychylać się.” Tak to funkcjonowało. To są powiedzonka z okresu stanu wojennego. Wszyscy wszystko wiedzieli, a wszyscy, że tak powiem, musieli spuścić z tonu, bo się bali.

<b>Data i miejsce nagrania</b>	2019-05-22, Lublin
<b>Rozmawiał/a</b>	Piotr Lasota
<b>Transkrypcja</b>	Karolina Kołodziej
<b>Redakcja</b>	Dagmara Spodar
<b>Prawa</b>	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"